

The background of the cover features a romantic scene of a man and a woman in silhouette, embracing and looking at each other. They are positioned in front of a bright, glowing sun that is partially obscured by their heads, creating a heart-like shape. The sky is a deep, vibrant red, and the overall mood is intimate and tender. Bare tree branches are visible in the upper corners.

*Nim
nadejdzie
świt*

ALICJA WLAZŁO



Bywają takie dni i noce, które zmieniają wszystko. Bywają takie rozmowy, własne lub zasłyszane, które są w stanie wywrócić do góry nogami cały nasz świat. Nie możemy ich przewidzieć. Nie możemy się na nie przygotować. Czyhają na nas gdzieś, zapisane w łańcuchy pozornych przypadków, nieuchronne jak świt po ciemności.

„Hera moja miłość”, Anna Onichimowska

Część pierwsza:
Gdy cie spotykam...

Rozdział I

Theo

Dźwięki rezonowały w moim wnętrzu. Nęciły raz ciszej, raz głośniej, szarpiąc struny duszy. A ja, kuszony ich słodkimi obietnicami, zanurzałem się coraz głębiej w elastycznej strukturze nowo poznanej melodii. Za każdym pociągnięciem smyczka odkrywałem nieco więcej, choć świat doznań nadal pozostawał częściowo ukryty w bezpiecznej sferze niedopowiedzeń.

Pochyliłem się, ugiąłem kolano, a stopę wysunąłem do przodu – nie potrafiłem dłużej utrzymać wrzających w moim wnętrzu emocji. Niczym nitki niewidzialnej energii przenikały do instrumentu, wydobywając na powierzchnię największe sekrety. W miarę jak dźwięki się wznosiły, myśli krążyły wokół przyszłości, a ta zbliżała się z prędkością nawałnicy. Pragnąłem tak wiele, a zarazem wystarczyłby mi okrucuch szczęścia.

Jaką drogę obrać? Iść za głosem serca, czy pójść w ślady ojca? Smyczek szarpał struny, gryf drżał, wyprostowałem się, próbowałem ukryć niepewność tak bezczelnie ujawnioną. Krople potu spływały po czole, znaczyły twarz i szyję, a koszula przyłgnęła do ciała. Na horyzoncie zamajaczyła odpowiedź na nurtujące pytania; zagrałem szybciej, chciałem ją dogonić, lecz gnała na złamanie karku. Zamknąłem oczy, skupiłem się na tym jednym punkcie, który pogrywał ze mną w ciuciubabkę. Obraz zamajaczył, dźwięki stały się ostre, niecierpliwe, próbowałem nadać im łagodniejszych tonów, ale na próżno. Za bardzo, za szybko chciałem poznać odpowiedź, która...

– Theo!

Ręka ze smyczkim zamarła, dźwięki ucichły jak od cięcia nożem. W pokoju zaległa cisza, jednak nie cieszyłem się nią długo.

– Theo.

Obróciłem głowę w kierunku, z którego dobiegał łagodny głos i otworzyłem oczy. Na mojej twarzy pojawił się uśmiech.

– Tato! – sapnąłem i podszedłem bliżej. – Nie wiedziałem, że wróciłeś.

Uśmiechnąłem się szeroko i zamknąłem mnie w uścisku. Odniosłem wrażenie, że nie chce, aby ten moment przeminął. Spróbowałem się wyswobodzić, ale on tylko szepnął:

– Jeszcze chwila, Theo.

– No okej, ale wiesz, że mam już niemal osiemnaście lat?

Tata zaśmiał się, ścisnął mocniej, a zaraz potem wypuścił i przyrzekał mi się uważnie. Przeczesałem włosy, poczułem się nieswojo.

– Czemu tak mi się przyglądasz? – spytałem.

– Bez przyczyny – odparł. – Po prostu cieszę się, że cię widzę. Chodź na lunch, mama zrobiła tosty.

Odłożyłem skrzypce do futerału, a po chwili zesłaliśmy na parter. W kuchni krzątała się mama, właśnie kończyła nalewać sok do szklanek. W pomieszczeniu rozchodził się zapach przypieczonego sera, szynki, a także ciasta drożdżowego dochodzącego w piekarniku. Przystanąłem w progu i obserwowałem, jak tata pochyła się do matki i całuje ją w policzek, a ona się uśmiecha. Nie mogłem się na nich napatrzeć, tak rzadki widok, a tak miły. Ojciec musiał poczuć na sobie moje spojrzenie, gdyż zaraz powiedział:

– Co tak stoisz? Lepiej usiądź i opowiadaj, co słyhać u mistrza.

– Jaki tam ze mnie mistrz – mruknąłem cicho, lecz zająłem miejsce.

Rodzice również usiedli.

– Myślisz, że mama nie wspomniała o wygranych zawodach w kick-boxingu juniorów w zeszłym tygodniu? – kontynuował

ojciec. – Albo o konkursie muzycznym, w którym brałeś udział w piątek?

– Nie rozpędzaj się tak, staruszkule – przerwałem. – Nie wygrałem.

– Staruszkule, co? – ojciec się obruszył, lecz w jego oczach błysnęły wesołe ogniki. – I nie myśl, że odwrócisz moją uwagę. Może nie wygrałeś, ale tylko przez to, że za bardzo zmieniłeś interpretację utworu i odbiegłeś od oryginału, czyż nie?

Sięgnąłem po tosta, mimowolnie unosząc kącik ust.

– Niby tyle cię nie ma w domu, a wiesz o wszystkim – odparłem. – Szpiegujesz nas, czy co?

– Byłoby dziwne, gdyby agent FBI nie czuwał nad własną rodziną – powiedział ojciec i puścił oko, a potem ugryzł chrupiącego tosta. Przymrużył oczy z zadowolenia i zwrócił się do matki: – Caroline, pycha!

Matka uśmiechnęła się, a zaraz potem pacnęła się w czoło.

– A właśnie! – przypomniała. – Wieczorem zjemy kolację we trójkę, prawda Brandon?

– Dokładnie – potwierdził ojciec, po czym spojrzał na mnie. – Więc lepiej się nie spóźnij.

– Nie zamierzam.

Rodzice jeszcze o czymś rozmawiali, lecz nie słuchałem, wystarczyło mi przebywanie w ich obecności. Widziałem ich ukradkowe spojrzenia, bijącą od nich radość, i sam też czułem się szczęśliwy. Chociaż oprócz szczęścia poczułem coś jeszcze, nieokreśloną tęsknotę za czymś, czego nigdy wcześniej nie pragnąłem. Chciałem być zrozumiany, znaleźć osobę, z którą mógłbym porozmawiać o wszystkim. Mieć kogoś, jak moi rodzice mieli siebie. Upiłem łyk soku. Tylko czy mi się to uda?

Ojciec klepnął mnie w ramię i wyrwał tym samym z zamyślenia.

– Lepiej się pospiesz, młody – powiedział. – Jeszcze się spóźnisz na lekcję gry.

Zerknąłem na zegarek, odsunąłem z piskiem krzesło i pognałem na górę po skrzypce.

– Na razie! – krzyknąłem jeszcze na pożegnanie, a następnie wybiegłem na zewnątrz.

Szedłem szybko, planowałem udać się prosto na zajęcia, jednak wtedy dostrzegłem pierwszą linię drzew, która znaczyła granicę Parku Forsyth. Przystanąłem, spojrzałem raz jeszcze na zegarek i zawahałem się. Nie wiedzieć czemu, miałem wrażenie, jakby park mnie wołał, a ja nie potrafiłem mu się oprzeć.

Zarzuciłem futerał na ramię i ruszyłem w kierunku rysującej się między budynkami zieleni.

Vera

Kropłe deszczu opadały na szerokie rondo kapelusza Very i nadawały mu wygląd przemoczonego liścia. Uniosła głowę i wystawiła twarz do chmur, pozwalając, by woda spadała prosto na skórę i przynosiła orzeźwienie. Vera chciała poczuć cokolwiek, nawet jeśli miałyby to być coś tak prozaicznego jak deszcz. Od dawna nie pamiętała, czym są uczucia. Nie pamiętała... czy może nie chciała pamiętać? Wszystko jedno. Owinęła się ciaśniej cienkim płaszczem z dzianiny i poprawiła przewieszony przez ramię pokrowiec. Nowe skrzypce spoczywały w nim spokojnie, czekając na pierwszy występ. Vera ścisnęła pasek od futerału i przełknęła zgromadzoną w ustach ślinę. Tak naprawdę to będzie również jej debiut. Co sobie myśleli? Posłać ją do szkoły muzycznej tylko po to, aby zbliżyła się do celu? Absurd.

Światło na przejściu dla pieszych zmieniło się na zielone i Vera ruszyła wraz z innymi na drugą stronę ulicy. Przeszła kolejnych kilka przecznic, aż dotarła do parku Forsyth. Znalazła to miejsce w pierwszych dniach pobytu w Savannah i od tej pory zaglądała tu niemal codziennie. Oczywiście, o ile pozwalała jej na to praca. Vera spojrzała na zegarek - ósma trzydzieści. Zostało jeszcze trochę czasu do rozpoczęcia zajęć, mogła więc spokojnie

cieszyć się pięknem parku. Alejki wydawały się mniej tłoczne niż zazwyczaj, a nieliczni odwiedzający ukrywali się pod parasolami oraz rozłożystymi koronami dębów. Gałęzie rosnących po obu stronach alejki drzew łączyły się i tworzyły baldachim, który dodatkowo chronił przed chłodem deszczu oraz częstymi porywami wiatru.

Vera szła dalej niepomna na otoczenie. Nie zadała sobie nawet trudu, by omijać kałuże. Weszła w jedną, woda rozprysła się, a brudne krople wsiąkły w muślinowy materiał spódnicy wystającej spod płaszcza i kontrastowały z bielą tkaniny. Dziewczyny to nie obchodziło. A w głowie, nie wiedzieć skąd, pojawiły się słowa:

Życie to nieustanna gra – przeżyją najbardziej wytrwali.

Gdy Vera przypomniała sobie, kto je wypowiedział, obręcz bólu ścisnęła serce. Pamięć nie zamierzała jednak jej tym razem odpuścić.

Matka – dostojna, a raczej wyniosła, zawsze zaciskała usta, jakby przed chwilą wychyliła duszkiem szklankę soku z cytryny. Choć nieskazitelnej twarzy nie znaczyła nawet jedna zmarszczka, a azjatyckie rysy, okrągłejsze policzki i łagodna linia podbródka powinny nadawać jej przyjazny wygląd, Vera nigdy nie pomyślała o niej w ten sposób. Co więcej, wiedziała, że matka zrugałaby ją za każde miłe słowo dokładnie tak, jak robiła to w przeszłości. Tak samo było tego dnia.

Sophia stała przed balkonowym oknem i spoglądała na ulicę. Verze zawsze zdawało się, że przeczesuje wzrokiem otoczenie w poszukiwaniu niebezpieczeństw, które widziała na każdym kroku. Vera natomiast przeciwnie – nigdzie ich nie dostrzegała.

Chwyciła skrzypce i zapakowała je do czarnego futerału. Zanim zamknęła wieko, przejechała dłonią po ciemnym drewnie, jeszcze lśniącym od niedawnego lakierowania. W pomieszczeniu unosił się gęsty dym papierosowy, jednak Verze wcale nie przeszkadzał; a raczej – dawno przestał. Chociaż przed Sophią

nigdy by tego nie przyznała. Matka zakaszłała, a ręka Very zawisła w powietrzu w napiętym oczekiwaniu. Właściwie cała zdawała się w nim zawisnąć.

– Nie spóźnij się – wychrypiała Sophia, po czym zapaliła kolejnego papierosa.

– Nie zamierzam. Dobrze wiem, jak ważne jest dla ciebie to zadanie – odparła córka oschle.

Powietrze w salonie stężało od napięcia. Vera wiedziała, że zaraz pożałuje swych słów. Sophia zerknęła przez ramię, a od tego spojrzenia dziewczynę przeszedł lodowaty dreszcz. Czarne jak węgiel oczy przeszły ją i wydzierały sekrety na powierzchnię, nie pozostawiając nic do ukrycia.

– To zadanie stanowi jednocześnie twoją inicjację – powiedziała spokojnie Sophia, choć jej głos ciął niczym sztylet. – Nie schrzań tego.

Vera nie mogła znieść więcej. Zatrzasnęła wieko futerału, po czym zacisnęła dłonie na delikatnej tkaninie spódnicy.

– Nie pomyślałaś czasem, że nie chcę w to brnąć? – zapytała córka podniesionym głosem.

Matka machnęła lekceważąco dłonią.

– Bzdura – prychnęła.

– Nie przekonamy się, jeśli nie pozwolisz mi zadecydować! Mam siedemnaście lat, do cholery!

Sophia odwróciła się i podeszła do córki. Powoli, ostrożnie, a zarazem z pewną dozą nonszalancji. Przypominała Verze jaguara podchodzącego świadomą zagrożenia ofiarę, która jednocześnie nie jest w stanie się poruszyć – zbyt oślepiąca pięknem drapieznika. Ostra woń anyżu oraz ambry przedzierała się przez odór tytoniu i tworzyła przyprawiającą o mdłości mieszankę. Matka stanęła przy córce i wolną dłonią chwyciła jej nadgarstek, po czym uniosła go na wysokość oczu. Rękaw swetra zsunął się niżej i odsłonił bladą skórę, tak nienaturalną na tle wiecznej opalenizny Sophii. Matka przysunęła drugą rękę, w której trzymała

dopalającego się papierosa; końcówkę przystawiła do nadgarstka Very. Zatrzymała ją milimetry od skóry, dziewczyna ani drgnęła.

– Życie to gra, przetrwają najlepsi aktorzy – powiedziała Sophia. – A ty jesteś taka jak ja, Veronica. I radzę ci o tym nie zapominać.

Vera prychnęła.

– Bo mnie ukarzesz?

Matka uniosła kącik ust, a potem przystawiła papierosa do skóry córki. Pieczenie przyprawiało Verę o dreszcze, a krople potu wstały na czoło. Próbowwała uwolnić rękę, ale matka trzymała mocno, dopóki papieros całkiem nie zgasł.

Sophia przysunęła się jeszcze bliżej i ze słodkim uśmiechem wymruczała wprost do ucha córki:

– Nie, kochanie, nie ukarzę cię... Wyeliminuję.

Silny podmuch wiatru przyniósł zapach frezji i ocucił przytępione zmysły. Vera potrząsnęła głową i odegnała wspomnienie, chociaż nadgarstek nadal palił. Zupełnie jakby ktoś stale podgrzewał go zapalniczką. Przytrzymała pasek futerału i rozejrzała się po parku. Podeszła niespiesznie do wolnej ławki i przetarła mokre deski znalezionej chusteczką, a potem usiadła. Znajdująca się nieopodal fontanna koła nerwy miarowym szumem spadającej wody i przywodziła na myśl górski strumień, niejako przenosząc Verę w błogi stan niebytu. Dziewczyna żałowała tylko, że nie będzie jej dane w nim pozostać. Chyba nawet unicestwienie byłoby lepsze niż obecne życie. Alejką przebiegła grupa ludzi. Ich przylegające do ciała stroje przesiąkły deszczem. Mieli cel i dążyli do niego bez względu na przeciwności losu. Vera drgnęła i potrząsnęła głową. Czy i ona znajdzie kiedyś swoje przeznaczenie?

Telefon w kieszeni zawibrował. Rozejrzała się, jednak w zasięgu wzroku nie dostrzegła niczego podejrzanego. Wyjęła więc aparat i odczytała wiadomość:

906 Jefferson St.

Szkoła Muzyczna

10.30

Droga Nathalie Taylor,

zgroń się do George'a H. Milтона.

Vera przeczytała wiadomość dwukrotnie, zapamiętała informacje, a następnie wyjęła z telefonu kartę i przełamała na pół. Podniosła się z ławki i ruszyła w kierunku Jefferson St., po drodze wrzucając telefon i kartę do kosza. Dobrze знаła okolicę, a cel podróży mieścił się niedaleko od parku. *Naprawdę korzystnie się złożyło*, pomyślała w duchu z przekąsem. *Szkoda tylko, że nie wierzę w zbiegi okoliczności*. Przez gęsto porośnięte gałęzie przebiły się nieśmiałe promienie wiosennego słońca i przegoniły przygnębiającą atmosferę. Vera przystanęła, zdjęła kapelusz, a następnie strząsnęła z niego resztki wody. Słońce grzało tak mocno, że dziewczyna miała wrażenie, iż usilnie pragnie poprawić jej nastrój i stara się przypomnieć dobre chwile. Problem w tym, że ona takich nie pamiętała. Już matka tego dopilnowała.

Vera chciała ruszyć dalej, gdy nagle z kimś się zderzyła. Kapelusz wyslizgnął się z dłoni, a ona z pewnością by upadła, gdyby przechodzień jej nie podtrzymał. Silna ręka otoczyła ją w talii. Palce Very oparły się na torsie nieznanego, jednak gdy zdała sobie sprawę z sytuacji, zaraz cofnęła ręce. Chłopak uśmiechał się i nie wyglądał, jakby zamierzał szybko ją wypuścić. Rozczochrane jasne włosy oraz błękitne oczy przyciągały wzrok, a wesołe iskierki, które w nich rozblęły, wydawały się Verze co najmniej nie na miejscu.

– Nic ci nie jest? – zapytał. Głos miał niski, jednak jego brzmienie przyjemnie drażniło uszy.

– Nie, dziękuję – powiedziała Vera. – Możesz mnie już wypuścić.

– A może jakaś mała nagroda? – ciągnął blondyn, rozciągając twarz w zawadiackim uśmiechu. – W końcu gdyby nie ja, z pewnością byś upadła.

Gdy nadal jej nie puszczał, Vera zacisnęła pięści. Z chęcią by go uderzyła, lecz w porę dostrzegła futerał na skrzypce przewieszony przez jego ramię i się opanowała. Czarny, z widocznymi śladami użytkowania, a mimo to zadbane. Zapragnęła uchylić wieko i sprawdzić, jaki skarb znajdował się w środku. Cholera, co to za myśli? *Skup się, skup!* Próbowała uczepić się rzeczywistości.

– Nagroda? – warknęła Vera. – Za to, że na mnie wpadłeś?

– O, wypraszam sobie. Nigdy bym na ciebie nie wpadł, gdybyś nie stała na środku alejki niczym statua wolności.

– Lepiej udawać posąg niż strusia pędziwiatra. Przynajmniej nie biegam bezmyślnie w kółko.

Sądziła, że chłopak się zdenerwuje, ale tylko się roześmiał, a później ją uwolnił. Wyminęła go niemal od razu, jednak chwilę potem zorientowała się, że ma puste ręce. Odwróciła się w kierunku intruza. Stał w rozkroku, całkowicie rozluźniony – w dłoniach obracał jej kapelusz i oglądał go z każdej strony niczym rzadki okaz. Złość wypełniła żyły, a instynkt kazał mieć się na baczności.

Szybkim krokiem podeszła do chłopaka. Wyciągnęła rękę i już miała złapać kapelusz, kiedy nieznajomy w ostatniej chwili uniósł go i założył sobie na głowę. Vera zatrzymała się i spojrzała na niego spod przymkniętych powiek. Słońce świeciło coraz bardziej, raziło w oczy i utrudniało klarowne widzenie. Zastłoniła ręką oczy i dopiero wtedy w pełni zdała sobie sprawę z niedorzeczności sytuacji, a także absurdalnego wyglądu chłopaka w damskim kapeluszu. Mimowolnie uniosła kąciki ust, a wargi uformowały się w uśmiech.

– Czyli potrafisz się uśmiechać – powiedział chłopak, po czym złożył szarmancki ukłon. Prędko się jednak wyprostował, ręką przytrzymawszy kapelusz, aby nie mogła go zabrać.

– Zdziwiłabym się, gdyby ktoś nie zaśmiał się na twój widok – odparowała.

Skrzyżowała ręce na piersiach i obrzuciła go uważnym spojrzeniem. Na razie wydawał się niegroźny.

– Oj, to prawda, zdziwiłabyś się – powiedział dziwnie poważnie. Zaraz jednak dodał równie wesoło: – To jak z moją nagrodą?

Mocny powiew powietrza poruszył jej włosami, a pojedyncze pasma, które wymsknęły się z ciasnego warkocza, nawiął na twarz. Jednak przyniósł również silny zapach drzewa sandałowego. Aromat, który pobudził zmysły i postawił nerwy w stan gotowości. Zamrugowała kilkakrotnie, zmieszana nowym doznaniem, lecz po chwili wrócił jej zdrowy rozsądek. Nie mogła się rozpraszać, nie teraz. Zaciśnęła szczękę, usta ponownie ułożyły się w prostą linię.

– Oddaj moją własność, bo inaczej...

Nagle przysunął się blisko, ich twarze dzieliły zaledwie centymetry. Na policzku poczuła jego ciepły oddech, gdy szeptał:

– Bo inaczej co? Ukarzesz mnie?

Umysł zalała fala wspomnień; matka, papieros, eliminacja. Inicjacja i zadanie. Uniosła spojrzenie, próbowała nie dać po sobie znać, że ta bliskość coś znaczy. Bo nic nie znaczyła, nie mogła. Ukłucie bólu gdzieś w okolicy serca. *Zaraz... To ja jeszcze mam serce?*

– Nie drażnij mnie – ostrzegła i sięgnęła po kapelusz, jednocześnie zbliżając się jeszcze bardziej do chłopaka.

Ich policzki otarły się o siebie, a Verę przeszedł elektryzujący dreszcz. Odskoczyła na bezpieczną odległość, w dłoniach ścisnąc właśnie odzyskany kapelusz. Policzki paliły ją do żywego, lecz mimo to nie spuszczała spojrzenia z chłopaka. A ten wyglądał na równie zaskoczonego. Zaraz jednak ponownie przybrał rozluźnioną postawę, lekko niechlujną, i uśmiechnął się szeroko. Ale tym razem Vera nie dostrzegła w tym uśmiechu nic dziwnego. Był szczerzy, a ze szczerością nieczęsto miała do czynienia.

– Nazywam się Theo. A ty? – zagadnął.

Zdawało jej się, czy głos mu drżał? W głowie zapanował mętlik, jakiego jeszcze nie zaznała, a przecież już nie raz stykała się z mężczyznami. Właśnie, mężczyznami, a ten tutaj nadal spr-

wiał wrażenie niewinnego dzieciaka, ledwie opierającego stopę na progu dorosłości. Wyprostowała rondo kapelusza, po czym założyła go, ukrywając twarz w cieniu. Przytrzymała dłużej krawędź, jakby tylko w nim mogła znaleźć oparcie.

– Wiesz, ja... – zaczął Theo zrezygnowanym, nieco oniesmielonym głosem.

– Vera – powiedziała ledwie słyszalnie.

Dopiero potem zdała sobie sprawę z możliwych konsekwencji i zamarła.

Theo zrobił krok w jej stronę i wyciągnął rękę.

– Miło mi cię...

Obróciła się na pięcie i uciekła. Potrafiła jakąś kobietę, której krzyki niesły się jeszcze za nią długo, tak długo, zanim nie wydostała się z parku. Odetchnęła dopiero na Whitaker St. Zatrzymała się i oparła ręce o kolana, by wyrównać oddech. Co się z nią działo? Dlaczego, do cholery, zdradziła swoje imię? Doskonale wiedziała, że jeśli ktokolwiek ich śledził, mogła spowodzić na chłopaka wyrok śmierci. A prawdopodobieństwo wynosiło jak zwykle pięćdziesiąt procent. Za dużo, by je lekceważyć, za mało, by zaprzętać myśli. Zresztą nie miała na to teraz czasu.

Zerknęła na zegarek, wskazówki wskazywały kilka minut po dziesiątej. Prędko przebyła resztę drogi. Przemoczone buty i skarpetki przyprowadziły ją o dreszcze, jednak tym razem odczucie zimna było dobre, odwracało uwagę od niespodziewanego spotkania w parku.

Kilka minut później Vera stała przed gmachem Szkoły Muzycznej. Ściany pociągnięto żółtą farbą o ciepłym odcieniu, a ceglane dachówki wyróżniały budynek spośród reszty. Wysoki, smukły i ponadczasowy – właśnie takie pierwsze wrażenie warła na dziewczynie budowla.

Weszła po kamiennych stopniach prowadzących do dwuskrzydłych drewnianych drzwi i przystanęła przed nimi. Wzięła kilka głębszych oddechów i zaśmiała się w duchu.

Życie to gra, tak, matko? W takim razie...

Kurtyna w górę, niech przedstawienie się rozpocznie!

Uniosła dłoń do kołatki w kształcie paszczy lamparta i zastukała trzykrotnie. Drzwi się otworzyły, a pracownik placówki wpuścił Nathalie do środka. Szkoda, że pod maską nieśmiałego uśmiechu nie rozpoznał błyszczących kłów lisa.

Theo

Zająłem to samo miejsce, co zwykle. Gdy krzesło skrzypnęło pod ciężarem, oparłem się wygodnie i wyciągnąłem skrzypce. Ich biel przyciągała nie tylko mój wzrok. Lecz wiedziałem, że bardziej od lśniącego drewna wszyscy interesowali się moją osobą. Koledzy zazdrościli, koleżanki szukały sposobu, by choć przez chwilę ze mną porozmawiać. Jednak w ich gestach, oczach, postawie - we wszystkim wyczuwałem silne pożądanie, by uszczknąć choć kawałka otaczającej mnie aury. Zaciśnąłem usta. Nie tego chciałem, nie takiego zainteresowania. Wystarczyło, że byłem zmuszony znosić je w przeszłości, teraz nie musiałem się na to godzić. Mogłem wytyczać własne ścieżki, a przynajmniej próbować.

Prychnąłem w duchu na wspomnienie nieoczekiwanego spotkania w parku Forsyth i uśmiechnąłem się do własnych myśli. Dziwna dziewczyna z tej Very, a mimo to zapragnąłem poznać ją bliżej. Przewieszony przez jej ramię futerał na skrzypce przeważał szalę, zbliżał. Intrygowała, chciałem ją spotkać raz jeszcze, lecz wiedziałem, że los rzadko spełnia nasze zachcianki. Stłumiłem westchnienie, gdy nagły ruch po prawej przywrócił mnie do rzeczywistości.

Siedząca obok dziewczyna o imieniu Clarise nachyliła się, a ściśnięte w zbyt małym staniku piersi sprawiały wrażenie, jakby miały zaraz wyskoczyć przez głęboko wycięty dekolt. Spojrzałem jej w oczy. Uśmiechnęła się i założyła płowe włosy za ucho, jednocześnie przechylając głowę na bok.

– Słyszałam twoją improwizację – zagadnęła.

– Tak? I co sądzisz? – Wiedziałem, że nie powinienem bawić się w podchody, a jednak nie potrafiłem się oprzeć.

– Och, strasznie mi się podoba lekkość, z jaką grasz! – zaszczebiotała i założyła nogę na nogę. Krótka spódniczka zsunęła się, odsłaniając udo do połowy. – Może mógłbyś mi udzielić kilku... dodatkowych lekcji?

Przesunęła się na skraj krzesła, a ja czekałem, aż spadnie i rozkwasi twarz. Przewornie cofnąłem się i odsunąłem skrzypce poza prawdopodobny obszar rażenia. Byłem do nich zbyt przywiązany.

– Uważam, że świetnie sobie radzisz – powiedziałem spokojnie. Nie spuszczałem wzroku, badając zmieniający się wyraz twarzy: z podziwu w zaskoczenie. – Nie potrzeba ci nauczyciela.

Drzwi otworzyły się i do sali ćwiczeń wszedł George H. Milton, nauczyciel muzyki. Sztywny jak tyka, zawsze w gotowości, z ciętą ripostą i odpowiedzią na każde zadane pytanie. Okulary półksiężycy opierały się na samym krańcu haczykowatego nosa. Za każdym razem, gdy nauczyciel się schylał, dziwiło mnie, że nie spadały. Szary dopasowany garnitur leżał na nim idealnie, a wyprasowana na sztywno koszula wprost raziła bielą. Łysina na środku głowy powiększyła się od ostatniego razu, kiedy go widziałem. A przynajmniej tak mi się wydawało, choć ostatnio w szkole byłem dwa tygodnie temu. Ta przerwa wynikała z napiętego planu zajęć. Nikt nie rozumiał sposobu, w jaki żyłem, a z każdym kolejnym dniem spędzonym wśród normalnych ludzi coraz bardziej zdawałem sobie sprawę, że nikt z nich nigdy tego nie zrozumie. Treningi karate, kick-boxingu oraz samoobrony, na które zapisał mnie tata, gdy skończyłem osiem lat, trwały po dziś dzień i wypełniały każdą wolną chwilę w napiętym muzycznie grafiku. Ale mimo wszystko to lubiłem.

Dobrze pamiętałem, jak ojciec towarzyszył mi przy pierwszych treningach. Uwielbiałem walczyć. Jednak w momencie,

gdy oberwałem naprawdę mocno od starszych kolegów, zwątpiłem. Wbiegłem na piętro do swojego pokoju. Zignorowałem wołania ojca docierające z kuchni, rzuciłem się na materac i przykryłem głowę poduszką, by ukryć łzy. Złość, a także zażenowanie zapanowały nade mną. Nie chciałem nikogo widzieć, z nikim rozmawiać, a w szczególności z nim.

– Można? – Tata zatrzymał się w progu, jak robił za każdym razem, i czekał, aż pozwolę mu wejść.

Nie odpowiedziałem, a w takich przypadkach zazwyczaj uznawał, że brak odmowy równa się zgodzie. Słyszałem, jak jego lekkie kroki odbijają się od desek. Przysiadł na skraju łóżka, materac ugiął się tak, że moje ciało przesunęło się bliżej ojca. Usłyszałem, jak wzdycha, a następnie poczułem na plecach jego dłoń i pokrzepiające klepienie.

– Jeśli chcesz porozmawiać, jestem – pamiętaj o tym. A nawet jeśli wyjadę na misję, dzwoń.

Odpowiedziała mu cisza, której tak nie lubił – nie w momencie, gdy pojawiały się problemy. Nie pamiętam, jak długo siedział i gładził moje plecy, ale wreszcie przestałem płakać, a ciężar na sercu jakby zelżał.

– Dobrze, to ja już pójdę do mamy – powiedział nagle.

Chciał wstać, lecz odwróciłem się i chwyciłem go za rękaw. Uśmiechnął się, sięgnął do nocnej lampki i zapalił światło. Dopiero, gdy jeszcze raz na mnie spojrział, uśmiech zszedł z jego twarzy. Gdy dotknął mojego policzka, odwróciłem wzrok.

– Kto to zrobił? – zapytał poważnie. – Przysięgam, że jeśli to te gnojki z szóstki...

– Tato?

Ojciec umilkł, wziął kilka wdechów i dopiero wtedy odezwał się nieco spokojniej.

– Tak?

– Czy to wszystko ma sens? Te treningi? Skoro udało im się mnie pokonać, ja... nie chcę cię zawieść, a czuję się jak gówno.

– Tama pękła i jednym tchem wyrzuciłem wszystkie obawy, a do oczu ponownie napłynęły łzy.

Ojciec przyciągnął mnie i przytulił. Począł, aż się uspokoję, a potem delikatnie się odsunął. Uniósł mój podbródek i tym samym zmusił, bym patrzył mu w oczy.

– Theo, jedna porażka nie czyni cię przegranym. Siłę i umiejętność nabywa się latami. Głowa do góry, jeśli tylko chcesz, w najbliższym czasie skupimy się bardziej na obronie i podstawowych ciosach.

– Dobrze – przytaknąłem.

– No, a teraz poczekaj, przyniosę coś, żeby cię opatrzyć.

Wstał i podszedł do drzwi. Zatrzymał się jednak w progu i dodał przyciszonym głosem:

– I nigdy nie wątp w swoją wartość, Theo. Jesteś moim synem, a ja zawsze będę z ciebie dumny, niezależnie od wyniku walki.

Uśmiechnąłem się na tamto wspomnienie. Pamiętałem, że po kilku miesiącach jeszcze intensywniejszych treningów ponownie dorwali mnie ci sami chłopcy – tylko że tym razem to oni uciekali w popłochu. To były dobre czasy, kiedy ojciec aż tyle nie pracował i nie znikał na całe tygodnie.

Profesor Milton odłożył futerał oraz grubą brązową teczkę na biurko. W niektórych miejscach skóra popękała, a materiał postrzępił się na krawędziach. Nauczyciel otworzył zapięcie z cichym trzaskiem, szmery na sali ucichły. Każdy wiedział, że od tego momentu zaczynają się prawdziwe ćwiczenia. A z Miltonem nikt nie chciał zadzierać. Jego przeciągłe spojrzenie, którym obrzucał uczniów, przywołało na myśl wilka oceniającego zwierzynę. Kursanci natychmiast wyciągali instrumenty i sprawdzali, czy są dobrze nastrojone.

Na kurs uczęszczało dziesięć osób, ale wymiennie. Część zajęć odbywaliśmy w mniejszej grupie, jak ta dzisiaj; część, głównie teoretyczną, w całości. Natomiast kilka razy w tygodniu

wykładowcy znajdowali czas, by udzielać nam dodatkowych indywidualnych lekcji. Tylko Milton stanowił wyjątek – nigdy nie godził się na prywatne zajęcia. A przynajmniej ja nic o tym nie wiedziałem.

– Dzisiaj przećwiczymy ostatni fragment symfonii, nad którą ostatnio rozpoczęliśmy pracę – zaczął profesor. – Jeśli ktoś z was był nieobec...

Drzwi ponownie zaskrzypiały i do sali wdarł się zapach świeżo skoszonej trawy oraz porannej bryzy. Głowy wszystkich odwróciły się w kierunku wejścia. Ja natomiast nic sobie z tego nie robiłem, bo i po co?

Salę wypełnił stukot miarowych kroków. Nieco nieśmiałe, choć silnie zaznaczone. Brzmiały zupełnie tak, jakby ich właściciel chciał się zakraść, lecz robił to na tyle nieudolnie, że z łatwością mógłbym przejrzeć jego intencje. Sięgnąłem po smyczek i wyjąłem go z wnętrza futerału. Za oknem zaszczekał pies.

– W czym mogę pomóc? – odezwał się Milton.

– Ja... Przepraszam, że przeszkodziłam, ale sekretarka kazała mi się udać prosto na salę ćwiczeń.

Zatrzymałem rękę w powietrzu. Ten głos... Podniosłem wzrok i... zdębiałem. Przed profesorem stała dziewczyna, na którą wpadłem w parku. Ciemnogrnatowe, niemal czarne oczy i proste krucze włosy splecione w warkocz sięgający aż do pasa przyciągały wzrok. No i ten dziwny kapelusz o zbyt szerokim rondzie; prze-moczony, zupełnie jak reszta ubrania. Luźny sweter mógł skrywać zarówno ciało modelki, jak i płaskie kształty. Vera. Nachyliłem się i oparłem łokieć na kolanie, w napięciu czekając na rozwój sytuacji.

Dziewczyna zdjęła kapelusz i kurczowo ścisnęła rondo w dłoniach. Czyżby aż tak się denerwowała? Nie takie sprawiała wrażenie w parku. Zmrużyłem oczy.

– Ach tak, powiedziano, że przyjdiesz, jednak spodziewałem się ciebie dopiero na kolejnej lekcji – wymamrotał zbity z tropu Milton. Przeszukiwał leżące na biurku dokumenty, lecz

najwyraźniej nie znalazł zguby, gdyż zaraz ponownie odezwał się do dziewczyny: – Przypomnisz swoje imię, dziecko?

Uśmiechnęła się delikatnie i odpowiedziała:

– Jestem Nathalie. Nathalie Taylor.

Zamrugalem gwałtownie, prostując się na dźwięk oczywistego kłamstwa.

– Dobrze, zajmij miejsce i na razie przysłuchuj się próbie – odparł Milton, a potem zwrócił się do nas: – Zaczynamy!

Inni ponownie unieśli skrzypce, przygotowali nuty, oparli instrumenty o ramiona, lecz ja się ociągałem. Nie mogłem odebrać wzroku od dziewczyny. Usiadła w drugim rzędzie na lewo ode mnie, z dala od wszystkich, jakby nie chciała przeszkadzać. A może wolała się odizolować? Nieważne, nie teraz. Teraz liczyła się muzyka. Uniosłem skrzypce, a po chwili salę przepęłniły pierwsze dźwięki symfonii.

Jednak pomimo usilnych starań ciągle myślałem o tajemniczej Verze.

Czy może raczej o Nathalie Taylor?

Rozdział II

Vera

Co on tu robi? Śledził mnie?

Po sali ćwiczeń rozchodziło się brzmienie pięciu instrumentów i tłumiło każdy inny dźwięk. Vera niby skupiała się na kolejnych fragmentach symfonii, lecz tak naprawdę rozglądała się w poszukiwaniu czegokolwiek, co mogłoby wydać się choć odrobinę podejrzane. Nie zamierzała zostać wykluczona z gry już pierwszego dnia. Sophia i tak jej nie odpuści – nie, dopóki nie wypełni zadania. Tymczasem pojawiły się nieoczekiwane komplikacje.

Dziewczyna złożyła ręce razem i oparła je na rozkładanym stoliku. Miała nadzieję, że nikt nie dostrzeże ich drżenia, ale Verze ciężko było się opanować. Obróciła głowę i spojrzała za siebie. Zaraz jednak tego pożałowała. Theo wpatrywał się w nią nieustannie spod lekko przymkniętych powiek, a jego wyprostowana sylwetka, pełna spokoju, przeczyła poprzedniemu wrażeniu wyluzowanego chłopaka. Vera otworzyła szeroko oczy i nie mogła odwrócić wzroku. Z każdym niższym dźwiękiem ramiona Theo opadały, jakby się kurczył, by po chwili prostować się wraz z wyższymi tonami wydobywanymi z instrumentu. Śpiewne, nieco płaczliwe, czasem oscylujące na granicy rozkoszy i cierpienia, a jednak urzekające w jego wykonaniu. Kolejne wyciszenie.

Theo na moment opuścił skrzypce i zamknął oczy; przekrzywił głowę. Wyglądał, jakby wsłuchiwał się w muzykę. Vera

wiedziała, że nie musiał tego robić – on był muzyką. Ponownie uniósł lśniący biały instrument i oparł o ramię, przyłożył smyczek do strun. Inne skrzypce przycichły w jednej zgranej melodii, natomiast Theo rozpoczął podróż po kolejnych misteriach osiągalnych jedynie na poziomie dźwięku. Ostatnie pociągnięcie smyczka... włoski na ciele Very stanęły dęba, a wzdłuż kręgosłupa spływały krople chłodnego potu.

A potem nastąpiła wypełniona napięciem cisza. Vera miała wrażenie, że niedawno usłyszane dźwięki wibrują echem w umyśle, przenikają przez kolejne komórki i docierają prosto do zmysłów; przepełniają serce i przyspieszają jego bicie. Poczuli ucisk w klatce, jednak nie dała tego po sobie poznać. Para przenikliwych błękitnych oczu wpatrywała się w nią czujnie. Już po raz kolejny tego dnia poczuła się niczym zwierzyzna, ale tym razem wypełnił ją inny rodzaj strachu.

To był strach o siebie, gdyż tym razem z chęcią dałaby się złapać w sidła zastawione przez Theo. Wszyscy usiedli, a Vera z trudem odwróciła wzrok i przeniosła go na innych, równie oszołomionych jak ona. Jednak na ich twarzach zauważyła pewien stopień rozżalenia i zazdrości. Racja, nikt z nich nie dostał solówki. Tylko Theo. Dziewczyny wpatrywały się w chłopaka z nadzieją i pewną drapieżnością – szczególnie blondynka siedząca obok niego. Nachylała się, jakby chciała go złapać na haczyk w postaci cycków wielkości arbuza. Lecz Theo zdawał się nie dostrzegać jej nachalnego zachowania, skupił się na skrzypcach. Odłożył je starannie, przejechał z czułością po smyczku, a następnie schował go wraz z instrumentem do futerału. Verę przeszła kolejna fala przyjemności na ten widok.

Rozległy się oklaski tuż obok niej. Wzdrygnęła się na ten dźwięk.

– Brawo, Theodorze! Proponuję solowy kawałek dla tego, kto choć spróbuje powtórzyć jego wyczyn – zakrzyknął Milton, wciąż nie przestając klaskać.

Rzucił spojrzenia na prawo i lewo, jakby pragnął wyzwąć uczniów na pojedynkę na śmierć i życie. Vera uniosła kącik ust. Może niedługo jego życzenie się spełni? Przynajmniej po części. Wtem rozłożył ręce, a na jego twarzy pojawił się wyraz dobrze wyćwiczonego zaskoczenia, jakby uczniowie go zawiedli. Jednak błysk w oczach zdradzał, że tak naprawdę właśnie tego się spodziewał. Uczniowie natomiast odwracali wzrok. Wiedzieli, że nie mogli równać się z wirtuozerią Theo.

Oni nie mogli.

Vera zaczerpnęła powietrza. Otworzyła futerał, który jęknął cicho, i wyciągnęła skrzypce. Krzesło zaszurało po wyłożonej kafelkami podłodze. Oparła instrument o ramię.

I pozwoliła, by pochłoneły ją dźwięki.

Theo

Melodia porwała mnie w wir niedoskonałości. Pozwoliłem jej szarpać zmysły, mogła robić ze mną, co tylko chciała. Mogła mnie upodlić, wzniesć na szczyt, poturbować, zabić. Rozkochar. I nie tylko ona.

Vera kołysała się w rytm dźwięków utworu, którego nigdy wcześniej nie słyszałem. Wspinała się na palce, by za chwilę przywołać na myśl uchylającego się przed ostrzałem uciekiniera. Czarny warkocz uderzał o plecy rytmicznie, krótka spódnica falowała – jedynie babciny sweter zdawał się nie pasować do całości. Lecz miałem to gdzieś. Sekwencja wysokich tonów, pociągłych niczym włókna jedwabiu na lśniącej szacie, mieniającej się wszystkimi kolorami tęczy. Nie! Słońca, księżyc! Zawibrowałem, a potem runąłem prosto w przepaść, w odmęty. Pewnie bym się roztrzaskał, jednak Vera ściągnęła wodze dzikiego rumaka, który stanął dęba, niemal wyrzucając nas z siodła. Bryza morską osiadła na twarzy, a krople słonej wody wdzierają się do oczu. Wtem fala wzniosła się i z hukiem opadła.

A następnie wszystko zalała cisza.

Próbowałem się uspokoić, jednak nie potrafiłem. Mogłem się tylko tępo wpatrywać w czarne włosy i czarne skrzypce dziewczyny. I już wiedziałem, że nie pozwolę jej ponownie uciec.

Verza

Oddech przyspieszył, klatka piersiowa unosiła się równo, a Verze wydawało się, jakby przebiegła co najmniej milę i to w zawrotnym tempie. Zawsze tak czuła, gdy tylko pozwalała porwać się muzyce. A nie powinna. Obiecała sobie to lata temu. Czy historia się powtórzy? *Miałam się nie wyróżniać. Wystarczy wykonać zadanie.* Zaciśnęła dłoń na smyczku nieco za mocno, zraniła skórę. Kropla krwi popłynęła po włosiu, a gdy dotarła do żabki, zatrzymała się na moment, po czym opadła z gracją na brudnoszare kafelki.

Wspomnienia gnały niepomne na nieme protesty dziewczyny, by ponownie zalać ją lawiną nie do opanowania. Nie chciała ich, nie chciała tego wszystkiego. To wina tego chłopaka! Pozwoliła, by muzyka wypełniła umysł, uwolniła serce spod stałego nadzoru i dała mu trzyminutową przepustkę. Tylko czy ta chwila słabości nie będzie jej słono kosztować? Wokół wrzało, jednak Verze to nie obchodziło. Zerknęła na leżące na kolanach skrzypce i ścisnęła ją w żołądku. Wiedziała, że kolejnych nie dostanie... Czy i tym razem zmuszą ją, by patrzyła, jak ogień pochłania lśniące drewno? By ponownie poczuła, jak wraz z czarną parą skrzypiec traci samą siebie?

Ktoś szarpnął ją za ramię i przywołał do rzeczywistości. Podniosła głowę i spojrzała prosto w oczy profesora Milтона, który stał tuż obok i potrząsał jej ramieniem z przesadnym wigorem. Wyciągnął rękę. Chwyciła ją machinalnie, nawet się nie zastanowiła, czy Nathalie powinna zachować się w ten właśnie sposób. Milton zamknął jej dłoń w mocnym uścisku.

– Gratulacje! Podjęłaś wyzwanie, a to rzadkie na moich zajęciach. Doprawdy, doprawdy – powiedział, ostatnie słowa mamro-

cząc jakby do siebie, zaraz jednak dodał: – Co więcej, podniosłaś rękawicę rzuconą przez Theodora, a to niemały wyczyn, niemały! Jednak musisz ćwiczyć, dużo ćwiczyć.

– Dlatego tu jestem – odparła Vera. Próbowwała wyjąć dłoń z uścisku, ale profesor trzymał mocno i pocił się przy tym. Uwadze dziewczyny nie uszedł fakt, że wzrok mężczyzny przejechał niżej na jej biust i talię.

Więc o to chodzi. W głowie od razu zaświtała rada matki:

– Znajdź jego słabość – nakazała, gdy tylko otrzymała wiadomość o pierwszym zadaniu Veroniki.

Córka zmrużyła oczy.

– A co, jeśli takiej nie ma? – zapytała.

Matka obrzuciła ją pogardliwym spojrzeniem.

– Każdy ma – odparła. – A jeśli nie, złap go za jaja i poświęć tyłkiem. Przecież wiesz, jak to się robi.

Wiedziała. I to aż za dobrze. Przełknęła ślinę, próbując odpędzić wspomnienie. Milton wwiercał się w nią niecierpliwym spojrzeniem. Spuściła wzrok, policzki spłonęły rumieńcem. Zauważył. Poczwała, jak jego ręka zadrżała z podniecenia i zrobiła się jeszcze bardziej mokra.

– Chciałabym, żeby nauczył mnie pan, profesorze, wszystkiego, co potrafi – powiedziała nieśmiało. – Matka będzie naprawdę wdzięczna.

Milton puścił jej dłoń i rozejrzał się po sali, jednak większość studentów zdążyła już opuścić pomieszczenie, a drzwi zamykały się właśnie za ostatnim. Przynajmniej tak sądziła Vera. Milton chciał coś odpowiedzieć, usta układały się w grymas, który zapewne miał imitować uśmiech, lecz wtedy w sali rozbrzmiały kroki.

– Pan profesor niestety nie daje prywatnych lekcji.

Ten głos... Vera zacisnęła pięści, próbując opanować złość, ale wiedziała, że każde kolejne słowo oddala ją od celu. Uniosła głowę i już wiedziała, że tę bitwę przegrała z kretelem. Milton

odchrząknął i potarł dłonie o marynarkę. Jego twarz ponownie przybrała maskę uprzejmej powagi i lekkiej obojętności. Jedynie w oczach przebłyskiwało echo niedawnego pożądania.

– Tak, tak, racja! Święta racja, Theodorze – powiedział gorliwie Milton, a po chwili pstryknął palcami. – Ale przecież ty możesz. Nawet jeśli twoje umiejętności, Nathalie, osiągnęły naprawdę wysoki poziom, powinnaś sporo zyskać z tej współpracy. Co o tym sądzisz, Nathalie?

Vera zamarła, a potem powoli odwróciła głowę. Theo stał tuż obok z radosnym uśmiechem błakającym się na ustach. Oparł się o krzesło i przysunął bliżej, tak że jego palce niemal stykały się z jej ramieniem. Zapach drzewa sandałowego otoczył ciasno zmysły dziewczyny. Miała ochotę krzyknąć, jednak tego nie zrobiła. Spuściła wzrok i założyła luźne pasmo za ucho, odsłaniając nagą szyję. Milton zakaszłał, a gdy ciągle nie odpowiadała, Theo nachylił się i wyszeptał:

– Właśnie. Co o tym sądzisz... Nathalie?

* * * * *

Vera zatrzasnęła drzwi od domu. Wiedziała, że Sophia wyszła, więc chwilowo nie musiała kontrolować każdego gestu czy słowa. Od razu ruszyła do pokoju, wyjęła skrzypce i pozwoliła, by dźwięki przeniknęły ją do granic. Próbowowała oderwać się od rzeczywistości, znaleźć zapomnienie w melodii, jednak myśli uparcie wracały do niedawnych wydarzeń. Wreszcie Vera oderwała smyczek od strun. Oddychała ciężko, nie mogąc się uspokoić. Próbowowała ucześcić się czegoś spojrzeniem, jakiejś błahostki pozwalającej odsunąć myśli, lecz wewnątrz nadal się miotła. Odłożyła instrument na biurko i rzuciła się na łóżko. Sprężyny zaskrzypiały. Chwyciła się za włosy – nadal ciasno zaplecione w warkocz wprawiały Verę w stan irytacji – zerwała gumkę, rzuciła ją gdzieś w pościel, po czym rozplotła fryzurę. Włosy spłynęły falami na ramiona i plecy. Zazwyczaj proste, dziś po-

skręcane od wymuszonego splotu. Vera westchnęła, rozłożyła ręce i wpatrywała się w bładoniebieski sufit.

Jak do tego doszło?

Odkąd opuściła budynek przy Jefferson St., myśli zataczały coraz ciaśniejsze koła wokół zdroworoządkowej części umysłu. Kiedyś bez wahania stwierdziłaby, że poradzi sobie w każdej sytuacji, nad każdą zapanuje. Kontrola? To jej drugie imię. Opanowanie? To maska, wręcz druga skóra, spod której nie widać emocji. Jednak tym razem sprawy przybrały obrót całkowicie niezależny od niej i pędziły na łeb na szyję niczym głązy po równi pochyłej. Vera nie mogła się pozbyć wrażenia, że znalazła się w wybitnie niekorzystnym położeniu. Wydawało jej się, że weszła w rolę pionka w starej grze na pierwsze wersje PlayStation. To tam główne zadanie postaci polegało na uskakiwaniu przed nadlatującymi przeszkodami. Szkoda, że te przeszkody mogły ją zgnieść na miążgę niczym karalucha. Na myśl o zgniłozielonych wnętrznościach wypływających z odwłoku insekta Verze zrobiło się niedobrze.

Usiadła i podciągnęła nogi pod brodę. Włosy spłynęły na kolana i osłoniły je całkowicie. Co powinna teraz zrobić? Gdyby Theo się nie wtrącił, może nawet dzisiaj udałoby się jej załatwić sprawę i mogłaby zasnąć tej nocy spokojnie. Jednak musiał się wtrącić, a tym samym nie dał jej większego wyboru. Pozwoliła się wciągnąć do jego rozgrywki. Tylko o co mogło tak naprawdę chodzić? Wykrzywiła twarz w grymasie i sięgnęła po zapasowy smyczek – zawsze trzymała jeden obok łóżka – po czym odruchowo włożyła go między zęby i zaczęła gryźć. Czemu ten chłopak tak się uparł? I to w dodatku musiał być właśnie on – uczeń najbardziej rzucający się w oczy, wybitny, który nie pozostaje w cieniu innych. Choć właściwie... możliwe, że dzięki temu nadal pozostanie blisko Milтона i uda jej się nieco zbliżyć do profesora, skoro Theo najwyraźniej jest jego ulubieńcem. Warto spróbować.

Stukanie w szybę przerwało bieg myśli. Odwróciła głowę i wyjrzała przez okno. Na parapecie dostrzegła niewielkiego ptaka w niespotykanych jak na faunę Savannah barwach – żółty łebek oraz gardziel przechodziła w błękit; ogon tonął w odcieniach obu tych kolorów. Ptaszek przekreślał szybko główkę, jakby próbował zarejestrować całość otoczenia, żywe czarne oczy błyskały ciekawie. Wtem znieruchomiał, rozłożył skrzydła, machnął nimi kilka razy i wzbił się ku niebu. Vera patrzyła za nim jeszcze długo po tym, jak zniknął na horyzoncie. Chmury z wolna przysłaniały południowe słońce, pokrywając okolicę wszystkimi odcieniami szarości. Chciałaby...

– Veroniko, jesteś już.

Sophia weszła do pokoju córki bez pukania. W palcach ścisnęła zapalony papieros. Dlaczego Vera nie usłyszała, jak matka otwiera drzwi wejściowe? Czyżby tak bardzo pogrążyła się w myślach? Wysokie obcasy stukały głucho o parkiet, a Vera wiedziała, że niedługo pojawią się w nim kolejne wyłobienia. Jednak jak wcześniej, tak i teraz nie odważyła się sprzeciwić. Stłumiła westchnienie.

– Spotkanie się udało? – spytała.

Matka zatrzymała się dopiero przy oknie, zasłaniając widok i rzucając na córkę cień. Vera uniosła głowę i spojrzała dokładnie w momencie, gdy Sophie wypuściła w jej stronę dym z papierosa. Kiedy owionęła ją chmura duszących oparów, siłą powstrzymała kaszel.

– Tak – odpowiedziała Sophie. – A u ciebie?

Vera wzruszyła ramionami.

– Nie obyło się bez komplikacji – powiedziała.

Spojrzenie matki świdrowało.

– Coś poważnego? – spytała.

– Nic, z czym sobie nie poradzę.

Sophia przytaknęła, a kąciki ust jakby się uniosły. Jednak trwało to zaledwie мгновение, więc Vera nie mogła stwierdzić, czy jej się nie przywidziało. Matka wyjęła z tylnej kieszeni

spodni telefon i rzuciła go w stronę córki. Vera złapała urządzenie w locie, po czym zmarszczyła brwi.

– Powinnam spodziewać się kolejnych instrukcji? – zapytała. Matka wzruszyła ramionami, naśladując gest córki.

– Spodziewaj się wszystkiego, a istnieją szanse, że nic cię nie zaskoczy – odparła zdawkowo Sophia. Wypaliła niespiesznie papierosa, po czym podeszła do drzwi. Przystanęła na progu i odwróciła się do córki. Dłoń oparła o białą framugę drzwi, krwista czerwień lakieru na jej paznokciach ostro kontrastowała z bladym tłem. – Nie schrzanisz tego, Veroniko – w jej głosie zabrzmiała nutka niepewności.

Czyżby właśnie ją o to pytała? Vera uniosła podbródek i wyprostowała się, a potem odparła najspokojniej jak potrafiła:

– Nie.

Po tych słowach Sophia wyszła z pokoju, zamknęła nawet drzwi, co wprawiło Verę w dziwny stan. Matka jeszcze nigdy z własnej woli tego nie zrobiła, przeciwnie, kiedyś całkiem zabronowała je zamykać, aby córka wiedziała, że nie decyduje o własnym życiu, że ono już na zawsze zostało złożone w czyichś rękach. Zazwyczaj bogatych i bardzo wpływowych. Dzisiaj sprawy wyglądały inaczej. Już od samej świadomości zmiany Verze zakręciło się w głowie. Co oznaczało zachowanie matki? Czy chciała jej coś tym przekazać? Z pewnością w inny sposób poza znakami i niespójnymi gestami nie potrafiła porozumiewać się z córką. Vera zadrzała, gdy naszła ją kolejna myśl.

Chyba już wiedziała, dlaczego matka zachowała się inaczej niż zwykle. Tym razem Vera mogła polegać tylko na sobie. Otuliła się grubą kołdrą w kwiatowy wzór. Mimo coraz cieplejszych nocy zawsze marzła, powoli nawet traciła nadzieję, że kiedykolwiek będzie w stanie się naprawdę ogrzać. Może takie przeswiadczenie miało źródło zupełnie gdzie indziej?

Położyła się do łóżka, nawet nie założyła piżamy, nie widziała potrzeby. Ponadto pragnęła jak najszybciej uciec w sen, który

jako jedyny wydawał się być sprzymierzeńcem w nierównej walce z rzeczywistością. Ale tej nocy sen nie przychodził tak szybko jak zwykle. A kiedy nareszcie pozwolił Verze zanurzyć się w swoim świecie, w umyśle pojawił się niechciany obraz parku Forsyth, a także para błękitnych oczu.

Śmiejących się wyłącznie dla niej.

Theo

Wraciałem do domu zamyślony. Myśli zjeżdżały na niewłaściwe tory, jakby na przekór mnie. Z całej siły próbowałem zmusić umysł do skupienia się na czymś prostym jak chociażby stawianie kroków czy liczenie kolejnych mijanych drzew. Jednak mimo wysiłku co kilka minut gubiłem się i wracałem do punktu wyjścia. Wiatr zawył przeciągle, prześmiewczo, jakby przejrzał mnie na wskroś i drwił ze szczeniackiego zauroczenia. Bo czy Vera nie rzuciła na mnie uroku? Może nawet teraz skrywa się gdzieś w cieniu, głaska czarnego kota, a na jej idealnie prostym nosie wyrasta kurczątka wielkości przepiórczego jaja. Zatrzymałem się i zacisnąłem dłonie na pasku od futerału. Próbowałem powrócić do stanu obojętności, lecz najwyraźniej dzisiaj nie miało to nastąpić.

– Co się ze mną dzieje? – spytałem w przestrzeń, po czym roześmiałem się w głos.

Ruszyłem dalej, po drodze mijałem kolejne zabudowania, a gdy skręciłem w Anderson St., na prawo dostrzegłem chińską restaurację Egg Roll King. Zdarzało się, że kupowałem w niej jedzenie na kolację. Jednak dzisiaj mieliśmy zjeść domowy posiłek i to w komplecie. Uśmiechnąłem się na samą myśl. Gdy przechodziłem obok restauracji, poczułem zapach ostрых przypraw oraz pikantnego kurczaka i zaburczało mi w brzuchu. Przyśpieszyłem, w końcu nadal zostawał mi kawałek drogi do przebycia. Pokonałem następne ulice, aż po kilku minutach znalazłem się na 32nd St. Przeszedłem nią jeszcze kilkaset metrów, aż dotarłem do białej furtki prowadzącej do domu. Otworzyłem ją,

a gdy zamek szczęknął, usłyszałem ujadanie psa. Odwróciłem się dokładnie w momencie, kiedy długowłose owczarek niemiecki skoczył na mnie, brudząc koszulę grudkami ziemi.

– Rasty! Stęskniłeś się, co?

Rasty zaszczekał w odpowiedzi, jakby chciał potwierdzić. Zakręcił się dwa razy wokół ogona, zastrzygł uszami i pobiegł w stronę podwórka za domem. Poprawiłem uchwyt futerału i ruszyłem na ganek. Wytarłem buty o wycieraczkę z napisem: *Home, sweet home*, a następnie otworzyłem drzwi. Od progu przywitał mnie odgłos radia grającego w kuchni – stacja nieco gubiła sygnał i brzęczała, co wśród nierównych szumów niekształcało dźwięki muzyki.

– Mamo, tato – zawołałem. – Już jestem!

Cisza. Dłoń zadrzała, lecz odsunąłem niepokój na bok. Przecież ojciec obiecał, że spędzi z nami trochę czasu. Odłożyłem futerał i oparłem go o ścianę przedpokoju, a następnie przekręciłem zasuwę drzwi i skierowałem się w głąb budynku. Kroki zaburzały ciszę tego miejsca; czułem się intruzem we własnym domu. Atmosfera zdawała się cięższa niż podczas ostatniej kłótni rodziców, kiedy ojciec wyjechał na trzymiesięczną misję. Może matka lepiej by to zniosła, gdyby nie dowiedziała się o wyjeździe dzień przed wylotem. Jednak ojca chyba nic nie przekonałoby do odrzucenia zadania. Przełknąłem ślinę. Wszystkie myśli, którymi zwracałem sobie głowę w trakcie drogi powrotnej do domu, straciły jakąkolwiek wagę w ułamek sekundy.

Gdy dotarłem na sam koniec korytarza, skrzyłem w przejście na lewo i znalazłem się w kuchni. Przystanąłem. Stos piętrzących się w zlewie naczyń smętnie przypominał o niewykonanych obowiązkach domowych, zupełnie jak przepełniony kosz na śmieci. Odruchowo podszedłem do śmietnika, opróżniłem go i założyłem nowy worek, zaraz potem jednak zamarłem i zdałem sobie sprawę z obecności matki. Siedziała tyłem do mnie, w dłoniach ściskając coś kurczowo.

– Mamo, co się stało? – spytałem ostrożnie. Worek zaszeleścił, gdy odkładałem kosz na miejsce.

Nie odpowiedziała. Podeszedłem bliżej i położyłem ręce na jej ramionach, delikatnie, żeby jej nie spłoszyć. Zadrżała pod dotykiem, lecz gdy odwróciła głowę i zobaczyła, że to ja, uśmiechnęła się. Opuchnięte od płaczu oczy nie zwiastowały niczego dobrego. Otoczyłem matkę ramieniem i przytuliłem. Trwaliśmy tak bez słów, a ja usilnie starałem się ignorować rosnący w okolicy serca ból. Ból, ale także i złość.

– Dobrze, że jesteś – wyszeptała.

Ścisnąłem ją mocniej.

– Co się stało? – zapytałem raz jeszcze.

– Nic niezwykłego – odparła i wzruszyła ramionami. – Wyjechał.

Po tych słowach odsunęła krzesło i wstała, a ja ją wypuściłem. Stała przy zlewku i jakby nigdy nic zabrała się za napełnianie zmywarki. Talerze trzaskały o szklanki, sztućce brzdękały przezraźliwie, a matka skupiła na nich całą uwagę. Jakby właśnie one najbardziej jej teraz potrzebowały.

Zamek zmywarki szczęknął i usłyszałem charakterystyczne pikanie oznajmiające rozpoczęcie programu.

– Mamo.

– Chciałam, by również przy tym był – powiedziała cicho.

– Przy czym?

Odwróciła się i oparła o szafki. Po chwili sięgnęła do kieszeni luźnego swetra i wyjęła test ciążowy. Przybliżyłem się, a potem zamarłem. Matka rozciągnęła usta w nieśmiałym uśmiechu, czekając na reakcję, a ja... Przyciągnąłem ją i uściśnąłem.

– To wspaniale! Tak się cieszę, mamo – bełkotałem. – Trzeba to uczcić, pójdę do chińczyka i kupię dobre jedzenie. Możesz jeść chińszczyznę?

Odsunąłem się i niemal pobiegłem do wyjścia. Chłodne powietrze wdarło się do środka, zarzuciłem szal i kurtkę. Ściemniło się? Kiedy?

– Theo – głos matki zatrzymał mnie w miejscu. – Wiesz, że ojciec cię kocha, prawda?

Spojrzałem spod półprzymkniętych powiek. Przycisnęła zamkniętą w pięść dłoń do serca, jej oczy zdawały się takie czujne i zmartwione. Pamiętałem jeszcze dni, kiedy najczęściej gościła w nich radość. A może to tylko złudzenie? Zdjąłem dłoń z klamki, a potem podszedłem bliżej i pocałowałem matkę w czoło.

– Wiem, mamó – powiedziałem, po czym ruszyłem do wyjścia i wybiegłem na zewnątrz.

Zwolniłem, szedłem szybkim krokiem, próbując odgonić dziwny niepokój rodzący się w podbrzuszu. Nie mogłem jednak zapomnieć o słowach, których nie wypowiedziałem. Słowach tak doskonale znanych, jak znienawidzonych, które brzmiały:

Ale ojczyznę kocha bardziej.

Nim nadejdzie świt
Copyright © Alicja Wlazło
Copyright © Wydawnictwo Inanna
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover photo by Samatcha/Adobe Stock
Copyright © for the Raustila Font by Altdesign
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2020 r.

druk ISBN 978-83-7995-507-7
epub ISBN 978-83-7995-508-4
mobi ISBN 978-83-7995-509-1

Redaktor prowadząca: Ewelina Nawara
Redakcja: Bożena Walewska
Korekta: Monika Halman
Adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski
Projekt okładki: Aleksandra Bartczak
Skład i typografia: www.proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak
ul. Kormoranów 126/31
85-432 Bydgoszcz
sekretariat@inanna.pl
www.inanna.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach
www.MadBooks.pl
www.eBook.MadBooks.pl



SPEŁNIACZE MAŁGORZATA FALKOWSKA

Spełniając marzenia innych, spełniasz się i Ty!

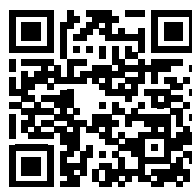
To miał być zwyczajny projekt na studia.

Dominika, Maciej i Julian mieli pomysł, by spełniać marzenia. Zaczęło się od listów dzieciaków z pobliskiego Oratorium, jednak dzięki determinacji trójki przyjaciół i z pomocą profesora Kellera, swoją działalność rozpoczęła Fundacja Spełniacze.

Dwanaście miesięcy w roku – dwanaście marzeń do spełnienia.

Małgorzata Falkowska zaprasza czytelników w niezwykłą podróż pełną dobra, miłości i wzajemnej tolerancji. Dwanaście wyjątkowych listów, dwanaście wyjątkowych historii, wielu naprawdę życzliwych ludzi. Poznaj Fundację Spełniacze, jej założycieli i dzieciaki, którym pomogli.

Niektóre marzenia spełniają się same, innym trzeba trochę pomóc.





ZASKOCZ MNIE
MAŁGORZATA FALKOWSKA
DARIA SKIBA

ONA ma pasję, za którą skoczyłaby w ogień.
Ma marzenia.
ON wymarzoną pracę i życie, które wydaje się
innym niemal idealne.

Antek i Jagoda są niczym ogień i woda.

Ona, bez planów na przyszłość, żyjąca „tu i teraz”.

On, poukładany, planujący przyszłość i zakon-
chany w swojej dziewczynie.

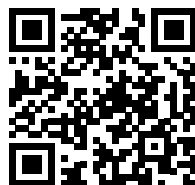
Czy tych dwoje może się wzajemnie zrozumieć?

Parkour jest ich odpowiedzią.

Uparta nauczycielka i uczeń, który nie chce się poddać.

Wspólne ćwiczenia pokazują obojgu, że mimo wielu różnic, są do siebie
bardziej podobni, niż mogli się spodziewać.

Co się stanie, gdy światy i poglądy tych dwojga się zderzą?





TYLKO SEKS MIRA GROSS

Błażej jest zwyczajnym studentem, który ledwo wiąże koniec z końcem. Gdy kumpel wprowadza go w szczegóły jego dostatniego życia, dla Błażeja kończy się pewien etap życia.

Lilianna to rozkapryszona i znudzona żona biznesmena. Jej małżeństwo nie należy do typowych, więc gdy na horyzoncie pojawia się Błażej, kobieta proponuje mu układ.

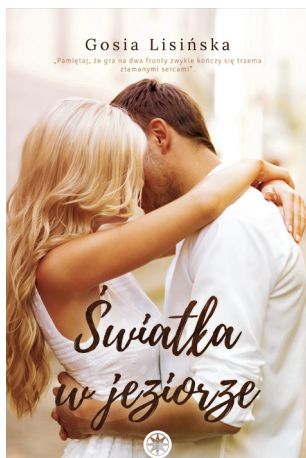
Jednak życie to nie bajka i Liliana będzie musiała ponieść konsekwencje własnych wyborów. Czy pociągnie Błażeja za sobą na dno?

To, co miało być zwykłą zabawą, przeradza się w coś, czego żadne z nich nie mogło przewidzieć...

„Tylko seks” to tak naprawdę nie tylko seks. To powieść pełna emocji, pożądania i prawdziwych uczuć. Jestem przekonana, że miłośniczki gorących romansów na pewno znajdą w tej historii coś dla siebie. Serdecznie polecam!

K.N. Haner, autorka bestsellerowych powieści dla kobiet





ŚWIATŁA W JEZIORZE GOSIA LISIŃSKA

Gdy po dwóch latach kompletnej uczuciowej suszy, dopadnie cię kłęska urodzaju, możesz mieć problem z wyborem.

Karolina jest zabawną i błyskotliwą dziewczyną, od roku zakochaną bez wzajemności w koleżce z pracy. I oto któregoś dnia spotyka go nad jeziorem, a wszystko się zmienia. Że jednak świat bywa złośliwy, na drodze Karoliny staje nie tylko Kuba, ale i pewien nieprawdopodobnie seksowny Włoch...

Przezabawne perypetie miłosne i rodzinne głównej bohaterki są tematem pierwszej obyczajowej powieści Gosi Lisińskiej z serii Miłość w Tychach.

„Świątka w jeziorze” to idealne połączenie doskonałego humoru oraz seksownego romansu. Będzie gorąco, zmysłowo i zabawnie. Historia Karoliny pochłonie Was w mgnieniu oka i nie pozwoli odłożyć książki, dopóki nie poznacie zakończenia. To życiowa, ale posypana odrobiną magii powieść, która umili długie zimowe wieczory.

Meg Adams, blogerka *Niegrzeczne Dziewczyny Recenzują*





PIKANTNIE PO WŁOSKU GOSIA LISIŃSKA

Czy szalony romans ma szansę przerodzić się w coś trwałego? Zwłaszcza szalony romans z własnym szefem?

Życie Magdy nigdy nie było poukładane czy zwyczajne, a związek z Roberto bynajmniej tego nie zmienia. Przynosi za to mnóstwo namiętności, ale i pytań, których dziewczyna dotychczas sobie nie zadawała.

Jak potoczą się jej losy? Jakie ostatecznie podejmie decyzje?

Tego dowiecie się z tej zabawnej i bardzo erotycznej powieści.

W tej książce jest pikantnie między bohaterami na kilka różnych sposobów – pikantne kłótnie, pikantny seks, a przede wszystkim pikantny uśmiech na twarzy czytelnika.

Grażyna Wróbel – Czytaninka

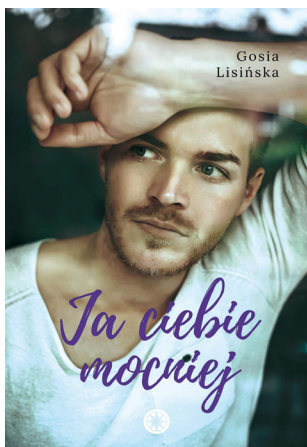
Gosia Lisińska ma talent do tworzenia lekkich, pozytywnych i przy tym niezwykle zabawnych historii. Koniecznie musicie poznać Magdę i jej pikantne włoskie perypetie.

Kasia Olchowy – Kulturantki.pl

Zakręcona i sliczna Polka, plus ponętny i seksowny Włoch — duet idealny?! A może mieszanka wybuchowa? Czekaj na Was dużo śmiechu i dużo gorących emocji! Druga część "Światła w jeziorze" jest, jak sam tytuł wskazuje, bardziej pikantna, bardziej niegrzeczna, ale wciąż tak samo zabawna!

Agnieszka Rybska – Blonderka.pl





JA CIEBIE MOCNIEJ MAŁGORZATA LISIŃSKA

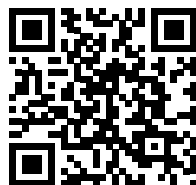
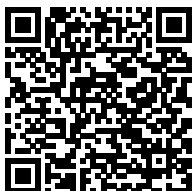
Kiedy wydaje ci się, że masz wszystko i naraz tracisz grunt pod stopami...

Jasiek zdobywa miłość swego życia, ale czy zdoła ją utrzymać? Czy potrafi oprzeć się pokusom? I czy miłość wystarczy, by odbudować to, co wydawało się utracone?

Wróć do Tychów, by poznać losy brata Karoliny, przebojowej bohaterki Świąteł w jeziorze, i kolejny raz zakochać się w tym mieście.

Popularne przysłowie mówi, że milczenie jest złotem. Jednak w małżeństwie Janka i Anki, borykających się z nową, nietatwą codziennością, milczenie doprowadza do katastrofy. „Ja Ciebie Mocniej” Gosi Lisińskiej w piękny sposób pokazuje, jak ważnym elementem każdego związku jest szczerą rozmowa. To mocno dająca do myślenia historia nietatwej miłości, po przeczytaniu której, zaczynamy zastanawiać się, co w naszym życiu powinno stanowić największą wartość: kariera, pieniądze, małżeństwo, dzieci? Gorąco polecam.

Izabela Grabda, autorka *Przypadek Lidki*



JOY HERMIA STONE

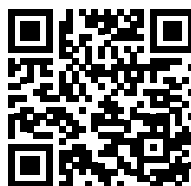


Joy jest przeciętną dziewczyną. Ma zwyczajną pracę, kilku w miarę normalnych znajomych i nie wyróżnia się niczym poza tym, że mieszka z mężczyzną idealnym, który zawsze spełnia jej marzenia. Prawdopodobnie dlatego, że jest wymyślony... No, może nie do końca. Oryginał istnieje. To wokalista znanego zespołu Sundance, otoczony tłumem fanek, zarabiający miliony i odnoszący sukcesy playboy.

W życiu jednak różnie bywa. Być może ta dwójka zetknie się w świecie jak najbardziej rzeczywistym.

Joy, będąc w trudnej sytuacji życiowej, zatrudnia się u managera Sundance. Prawdziwe kłopoty zaczną się, gdy spotyka swojego idealnego faceta i pozna go bliżej. Dowie się wiele nie tylko o swoich uczuciach ale też o prawach rządzących rynkiem muzycznym i o panujących w nim stosunkach międzyludzkich. Wkrótce Joy, jej znajomi i wszyscy członkowie zespołu Sundance przekonają się, co się stanie, gdy spełnią się czyjeś marzenia.

To nie jest prosta romantyczna opowieść o namiętnej miłości nieśmiałej dziewczyny i gwiazdy rocka. To nie jest kolejna odsłona bajki o kopciuszku. Ta opowieść może zaskoczyć.





WYSPA MGIEŁ MARIA ZDYBSKA

Czasami dwie dusze łączy więź silniejsza niż śmierć.

Ona – przybrana córka pirata, uratowana z morskiej kipieli. W jej przeszłości ukryty jest klucz do potężnej mocy, która może przynieść wybawienie lub zgubę.

On – potężny mag, wyrzutek, arogant i sybaryta. Od lat poszukuje, choć sam nie wie, czego i dlaczego.

Kiedy jednak ich drogi się spotykają, przejmują nad nimi kontrolę siły potężniejsze od nich samych. Bogowie i demony, nieumarli i czarnoksiężnicy, zapomniana magia i stracone życia – droga do ich poznania zaczyna się na tajemniczej Wyspie Mgieł.

“Wyspa Mgieł” to powieść young-adult fantasy przesiąknięta zapachem morza, pełna przygód, barwnych opisów i fantastycznych istot. Poznaj losy wyrzuconej przez morze Lirr i daj się oczarować tajemniczemu magowi o imieniu Raiden.

Melissa Darwood, autorka *Pryncypium*, *Larista* i *Luonto*

PIERWSZY TOM SERII KRUCZE SERCE





JEZIORO CIENI MARIA ZDYBSKA

Lirr i Raiden muszą uciekać z Ysborga nie tylko przed gniewem jego władczyni, ale również przed podążającymi ich tropem bezwzględnyimi Łowcami Mocy. Wiedząc, że Maeve nie spocznie, dopóki nie zemści się na nich, dwójka zbiegów postanawia poszukać schronienia na brzegach mitycznego Jeziora Cieni.

Odnajdą tam jednak duchy przeszłości, które mogą zmienić wszystko, co dotąd o sobie wiedzieli i wszystko, co kiedykolwiek do siebie czuli.

*Nadchodzi czas walki z własnymi demonami!
Nadchodzi czas próby wśród zwodniczych cieni!
Krucze przeznaczenie zaczyna się wypełniać!*

DRUGI TOM SERII KRUCZE SERCE





SIŁA JEJ PIĘKNA ANTOLOGIA

AUTORKI:
AGNIESZKA OPOLSKA
AGNIESZKA SUDOMIR
AGNIESZKA ZAKRZEWSKA
ALICJA WŁAZŁO
ANNA KARNICKA
DARIA SKIBA
MAŁGORZATA FAŁKOWSKA
MARIA ZDYBSKA

WYJĄTKOWE HISTORIE DLA WSZYSTKICH WYJĄTKOWYCH KOBIET

Osiem utalentowanych polskich autorek i jedno niełatwe zadanie. Odnalezienie siły i piękna, które tkwią w każdej z nas. Opowiadania wchodzące w skład antologii są tak różnorodne jak kobiety, które je napisały. Autorki opowiadają o zwycięstwie w zmaganiach z przeciwnościami losu i osobistymi dramatami.

Czy twoja historia jest podobna? Czy teraz uwierzysz w siebie? Czy dotrzesz do ukrytej w tobie siły? Każda z nas jest inna, piękna na swój wyjątkowy sposób!

OD KOBIET DLA KOBIET
ODNAJDŹMY W SOBIE SIŁĘ I PIĘKNO!

